405537

ZAJMUJĄCE CZYTANKI № 307.

I.405.537

Z. KOŚCIELSKI

NA WYCIECZCE

DWA OBRAZY Z ŻYCIA SKAUTÓW POLSKICH

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
LUBLIN — NAMIESTNIKOWSKA 23.

ZAJMUJĄCE CZYTANKI

POD REDAKCJĄ MARJI BUYNO - ARCTOWEJ

Z. KOŚCIELSKI.

NA WYCIECZCE

DWA OBRAZY Z ŻYCIA SKAUTÓW POLSKICH

N=231.

PRAWDĄ A PRACĄ

1918

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE

LUBLIN — NAMIESTNIKOWSKA 23

OSOBY:

P. ROŻNIECKI — dziedzic, lat 40.
P. ROŻNIECKA — żona p. Michała, lat 32.
JANEK — ich syn, lat 15.
STEFAN — starszy skaut, lat 19.

BOLEK WITEK STACH WŁADEK KAZIEK TADEK HENIEK JÓZEK MIETEK i paru innych	skauci w mundurach lat 14 — 17.

BARTOSZ — chłop, lat 40.
JÓZEK — syn Bartosza, lat 14
CHŁOPI — kilku, ilość dowolna.

BIBLIOTEKA NARODOWA
I.405.537

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch
die Kais. Deutsche Presseabt.
Warschau, den 21.XII. 1917. T.-N° 8541. Dr. N° 646.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

st. 2.

Ze zbiorów Juran-Olgierda Daszewska

OBRAZ PIERWSZY.

Jesteśmy w dużym bawialnym pokoju wiejskiego dworu: przez szeroko otworzone drzwi w ścianie głębiowej widać słońca pełny ogród, do którego zejście prowadzi przez oszkloną werandę. W pokoju zwykłe meble, jak we dworze; fortepjan, kwiaty w żardinjerach; stół, serwetą ciężką okryty, na ścianach: Kościuszko, Książę Józef i Dąbrowski, tudzież sakramentalne: «Polonja» oraz «Przegląd na placu Saskim». Na lewo i na prawo drzwi. W ścianie głębiowej po obu stronach drzwi ogrodowych weneckie okna, za którymi chwieją się zbliska zielone gałęzie kwitnących jaśminów.

Słychać nalewo głos: «Janku, Janku!»

Na scenę wchodzi drzwiami od ogrodu Janek, w letniej, napół sportowej odzieży: zlekka opalony, robi wrażenie rozpieszczonego jedynaka, syna obywatelskiego.

SCENA PIERWSZA.

Janek *(z nieukontentowaniem).* Idę, już, idę— zaraz będę!.... *(utyskująco).* Niczem innem się zająć niepodobna, do niczego wprost wziąć, tylko wciąż te lekcje i lekcje! Dopiero co Stolbe zwolnił mnie od tej przeklętej niemieckiej gramatyki, a tu już wołają do geometrji: zupełnie wytchnąć nie dadzą.... *(zbiera jakieś książki ze stolika po lewej stronie — na twarzy dąs).* I co za sens, co za cel w tym kuciu?! Życie całe wypadnie się chyba uczyć, a i to nie wiem, czyby człowiek wszystko przetrawił *(liczy).* Gramatyk trzy — ale, gdzie tam, cztery, bo przecież i łacina kochana też — algebra, geometrja, fizyka, geografja — no, co tam jeszcze dalej? — historja, zoologja.... No, proszę kogo, ogarnij, człowiecze, to wszystko,

zapamiętaj!... I po co, po co właściwie: czy to papcio z karbowym Mateuszem po łacinie rozmawia kiedy?! *(wzrusza ramionami. Słychać wołanie: „Janek — gdzież ty jesteś?!")* Idę, idę natychmiast! Dziś o podobieństwie trójkątów mam zadane: nadzwyczaj zajmująca historja! *(słowa ostatnie z przekąsem).*

(Wchodzi matka Janka, p. Rożniecka i staje na progu).

SCENA DRUGA.

P. Rożniecka. Janku, pan Czerniak już jest w pokoju; nie pozwól czekać na siebie!

Janek. Właśnie książki zbieram *(ociąga się).* Oj, matusiu, mnie się tak jakoś nie chce!

P. Rożniecka. Nawet nie mów tego głośno, bo wstyd doprawdy *(z wymówką).* Kto słyszał o podobnem lenistwie? do czego to podobne?

Janek *(grymaśnie).* Bo to nic i nic przez całe dni, tylko się uczyć i uczyć trzeba. A przecież ja z tego w życiu, z tych różnych składni i stylistyk, i tak pożytku nie będę miał żadnego. Komu to i na co potrzebne?!

P. Rożniecka *(wychodząc na środek pokoju, zgorszona).* Co też ty dzisiaj wygadujesz, Janku? Toż uszy bolą słuchać, doprawdy! Kiedy ty się ustatkujesz nareszcie? egzamin za pasem! Od wakacji pójdziesz do szkoły do miasta, bo dosyć już wiejskich wygód! Więc ucz się, ucz, bo....

Janek. Kiedy dziś tak ładnie, tak cudnie w ogrodzie; chciałem sobie coś poczytać pod klonem, a tu masz — pan Czerniak z geometrją! Prawdziwa przyjemność!

P. Rożniecka. Odrób lekcje, a znajdziesz czas jeszcze i na czytanie.

Janek. Ba, ja wiem! *(nieprzekonany).* Cały dzień nad książką! *(wchodzi p. Rożniecki).*

SCENA TRZECIA.

P. Rożniecki *(po gospodarsku ubrany, w długich butach, jasnej marynarce, kapelusz słomiany w rękach. Mocno podrażniony).* Skaranie Boże z tem chłopstwem; ani upilnować się od nich! Człowiek radby, mosterdzieju, z tem po ludzku, po sąsiedzku bez mała, uczciwie — gdzie tam! zawsze po cudze łapę wyciągną!... A, co za ludzie, co za świat!...

P. Rożniecka. Cóż takiego zaszło?!

P. Rożniecki. Ha—cóżby, jak nie kradzież w lesie! Toć jeśli tak dalej pójdzie, to mi, mosterdzieju, połowę lasu wytną i rozkradną! Codzień nowe ślady, nowe straty; i dziś Mateusz mi doniósł, że pod leśniczówką właśnie parę sosen ścięto w nocy. I to, jak mi Bóg miły, nasienniki! Rady sobie zupełnie z niemi, mosterdzieju, dać nie można: bandą się zakradają, tak że i karbowi boją się płoszyć! Ha — skaranie Boskie!...

P. Rożniecka *(utyskująco).* Istotnie — ciężkie stosunki z gromadą! Czy masz poszlaki na kogoś?!

P. Rożniecki. Tak to niby nic pewnego niewiadomo; za rękę nikogo, oczywista, nie złapano! Ale oni wszyscy jedno warci i jedno wiedzą. Cała wieś w zmowie ot, co jest!— on ma taki posłuch!

P. Rożniecka. Gdyby tak księdza proboszcza prosić o poruszenie tej sprawy z ambony: niechby przemówił, wyjaśnił, upomniał, jakoś wreszcie pogroził może.

P. Rożniecki. E, mosterdzieju, posłuchu szukać u chłopa! *(gorzko się uśmiecha).* Albo grozić?!... Ciekaw jestem — czem? Kto co zrobi tej ciemnej masie, idącej ławą, kierowanej niechęcią do dworu, przenikniętej żądzą łu-

pu?!... (*do Janka*) A ty czemu nie przy lekcji, ha?.

Janek (*powoli zbierając się do odejścia*). Idę, idę....

P. Rożniecki (*grożąc mu lekko palcem*). Bąków nie zbijaj, much po suficie nie goń: nie długa twoja swoboda. Od wakacji — marsz, mosterdzieju, do szkoły. Musisz i ty wiedzieć, co to praca szkolna.

Janek. Ojej, papciu, ja tylko czekam tej chwili, kiedy już do miasta pojadę! Tu czasami strasznie nudno bywa: nawet kolegów nie mam zupełnie. Co mi tam wieś!...

P. Rożniecka. Nęci cię miasto, bo myślisz, że tam tylko zabawy i urozmaicenia cię czekają. Oj, zatęsknisz ty jeszcze z miasta do wsi, zatęsknisz nieraz, chłopczyku. Przyśni ci się twój bułanek, przyśni bułeczka ze świeżem masłem, przyśni wóz drabiniasty, co nas wozi na leśniczówkę na majówki: zobaczymy, czy nie będziesz się rwał z miasta wtedy do wsi.... No, ale teraz na lekcję: niech pan Czerniak nie czeka!... (*wchodzi od strony werandy Bolek, stawiając u drzwi rower; okurzony, w stroju skautowym, plecak na ramionach*).

SCENA CZWARTA.

Bolek (*od progu głośno, radośnie*): Czuwaj!

Wszyscy (*każdy z innem uczuciem*). Bolek! A ty tu co? Skądże to?! (*powitania*).

Bolek. Ja, wujaszku kochany, jadę, jako forpoczta oddziału skautowego, który idzie za mną zaraz; jadę mianowicie do kochanego wujaszka z prośbą o pozwolenie spędzenia nocy w lesie tutejszym przy ognisku.

P. Rożniecka. Nocy — w lesie?! (*zdumiona*). A wam co?!

Bolek. Ano tak, ciociu droga: chcielibyśmy obozowisko rozłożyć w lesie, aby prze-

nocować z oddziałem. Odbywamy właśnie teraz parodniową wycieczkę okrężną i na dziś ściągniemy tutaj: trzeba więc gospodarza tej okolicy o pozwolenie prosić....

P. Rożniecki. Ależ prosimy do dworu cały oddział; przecież chyba miejsca będzie dosyć?!

P. Rożniecka. Naturalnie: pościel i miejsce się znajdą, prosimy, prosimy do dworu....

Bolek. Bardzo dziękujemy, ciotuchno, za gościnność, ale na wycieczce najmilej obozować pod gołem niebem.

Janek. To wy sypiacie na trawie, w lesie, w nocy?!

Bolek. A tak. I żebyś wiedział, Janek, co to za rozkosz! (*ożywia się*). Na mchu — plecak pod głowę, derką się okrywasz, a tu drzewa szumią, ogienek maleńki sobie trzaska, warta chodzi w tę i w ową stronę! Las pachnie, że ojej!

Janek. No, tak to niby jest. Ależ to i zimno, i niewygodnie, i głodno! Brrrr! Jabym za nic w świecie dobrowolnie w nocy nie spał w lesie na trawie!

Bolek. A gdybyś był na wojnie? albo gdzie w puszczy naprzykład?! Łóżeczko puchowe zginęło gdzieś, albo coś w tym rodzaju: cóż to wtedy nasz pan Jan porabia? Nie wtyka pięści pod głowę, nie otula się paprociowymi liśćmi, nie śpi, aż w niebie słychać, mimo wilki i niewygody? Co?...

Janek. No, gdyby się tak złożyło, ale samemu, z własnej ochoty kłaść się na brudnej ziemi (*wzrusza ramionami*).

Bolek (*śmiejąc się*). Oj, ty—piecuchu! Właśnie, aby módz takie wypadki przetrwać, trzeba się hartować i przyzwyczajać. A przytem — sama przyjemność! Ty jej, oczywiście, nie odczuwasz, boś nigdy nie spędził nocy przy ognisku, i próżnoby ci o tem nawet mó-

wić. Ale my, skauci, za nielada gratkę mamy obozowanie w lesie przy ognisku.

P. Rożniecka. No, a matka twoja zgadza się na takie wycieczki i noclegowe próby? Nie sprzeciwia się podobnym przedsięwzięciom?.

Bolek. Nie, ciociu: zawsze mi pozwala na wycieczki! (*z zapałem*). Toć to jedyna moja przyjemność i uciecha: jak tylko dzień, albo dwa ferji, to zaraz kij w garść, plecak naszykowany na plecy — i hajda za miasto!

P. Rożniecki. No, siadajże, siadaj, skaucie, mosterdzieju! Tocieś się pewnie zmęczył na tym rowerze?

Bolek Dziękuję, nie mam teraz czasu. Muszę wracać do gromadki z wiadomościami; muszę donieść o otrzymaniu pozwolenia na obozowanie, muszę wskazać drogę, najbliższe studnie.... Tam koledzy czekają, co im forpoczty doniosą.

P. Rożniecka. No, spocznij, spocznij nieco: przynajmniej mleka szklankę wypij dla odświeżenia ust. Powiedz nam chociaż, jak zdrowie matusi, ojczulka; jakże się czują teraz?!

Bolek. Dziękuję cioci, zdrowi wszyscy!

P. Rożniecka. Poczekajno tedy chwilę; wyjdę jeno, by dać dyspozycje do kredensu. Przyniosę ci też mleka (*wychodzi*).

SCENA PIĄTA.

Bolek. Więc wujcio kochany pozwala nam założyć obozowisko w lesie?

P. Rożniecki. Ano, skoro milszy wam mech i namiot, niż kołdra i poduszka, mosterdzieju, skoro się wilków, lwów i innych niedźwiedzi nie boicie, skoro się tak na gwałt chcecie przyuczać do trudów wojennych, to

proszę, proszę uprzejmie! Tylko mi drzew nie niszczyć, sosen na ogniska dość w lesie!

Bolek (*rozradowany*). Ależ, wujaszku, skaut szanuje drzewa; my jesteśmy przyjaciółmi przyrody! A jak ja się cieszę, jak się cieszę, że będziemy mogli obozować w tym cudnym Lisowie (*porywa Janka w objęcia i okręca go kilkakroć dookoła*). Janku, Janku, nie dasz wiary, co to za uciecha, wyrwawszy się z miasta, z jego zaduchu, z jego ciasnoty, całe dnie wdychać balsam lasów i pól! Ani na jedną chwilę nie zdusić oddechu klatką ścian, albo zaduchem ciżby ludzkiej; tylko w polu, w przestworze, w słońcu! Hej — ha (*uderza hołubca*)! Niech żyje natura, lato i wieś!...

P. Rożniecki Widzisz, Janku, słyszysz: chłopcy z miasta tęsknią do wsi, rwą się do niej, a ty lekceważysz ją sobie. To, co tobie dano, jako chleb codzienny, dla innych jest może tylko marzeniem lub nagrodą za ciężką pracę....

Bolek. To Janek tak wsi nie lubi?!

Janek. A cóż tu jest do lubienia?!

Bolek. Ach, ty niewdzięczniku, czarna duszo, to ty wolisz te ceglane kurniki, te sterczące kominiska, ten hałas, zgiełk, zamęt, zaduch, brud, niż wieś? Pomieniał się stryjek: siekierkę na kijek, niema co? Winszuję gustu!

Janek (*podrażniony*). Jak przyjedziesz na wieś na dzień, dwa, to nie dziw, że cię wieś interesuje, ale posiedźno tu rok, albo dłużej, zobaczymy, co powiesz wtedy! Przecież miasto musi być i napewno jest bardziej urozmaicone, niż taka zapadła dziura.

Bolek. Nie, wiecie państwo, to pojęcie ludzkie przechodzi! (*z komiczną powagą*). To wszyscy, od Wirgiljusza do Mickiewicza i Pola, zachwycają się wsią, opiewają wieś, tęsknią do niej, wyrywają się na swobodę, na powie-

trze, na kwaśne mleko i czarne jagody, na słońce i kąpiele rzeczne, a ten (*pokazuje Janka palcem*), ten syn wsi, ten benjaminek losu wybiera się po przyjemności do miasta. Tyś chyba nie wstał nigdy przed szóstą rano, nie widział wschodu słońca, nie widział gwiazd nad lasem, nie słyszał szumu sosen o zmierzchu, tyś chyba ślepy i głuchy chodził po tym świecie!

P. Rożniecki (*który przez chwilę pisał coś na stronie w gospodarskim dużym notesie*). Gdyby Janek mieszkał w mieście, oczywiście, tęskniłby za wsią. Toby go nęciło, mosterdzieju, czegoby mu brakowało: przekorność natury ludzkiej i nic więcej. Ja stary już przecie, a dla mnie cudowności wiejskie jeszcze nie spowszedniały; a przytem — wieś to zdrowie! Popatrzcieno na wiejskiego gospodarza, na parobka: wespół z koniem orze, z brzaskiem słonka wstaje, ale jakie ma bary, jaką garść sękatą, jaką twarz ogorzałą! Daleko do chłopa rzemieślnikowi lub robociarzowi miejskiemu. Wieś to skarb, to cud!

Bolek. I tylko oczu, tylko serca i duszy potrzeba, by odczuć piękno i bogactwo przyrody! A zresztą przyroda nietylko jest piękna, nietylko powabu w niej szukamy: ona uczy także zaradności i przedsiębiorczości....

P. Rożniecki. Zuch z ciebie, Bolku, widno masz w głowie. Istotnie, obcowanie z naturą uczy zaradności; człowiek, który się styka z wodą, powietrzem, zwierzęciem lub rośliną, nabiera odwagi i śmiałości osobistej, przyucza się dawać sobie wszędzie samemu radę, mosterdzieju, polegać na własnych siłach. O, to, to! to nie tak, jak Janek, który raz wyjechał na kępę na rzece naszej i zostawił łódkę, przywiązaną do krzewu wikliny; sznur się rozwiązał, łódka uciekła — Janek został Robinsonem na odludnej wyspie. Tylko cóż, ani

zapałek, aby zapalić ogień i w ten sposób dać znać o sobie, ani pływać, aby wpław dopłynąć do brzegu, mosterdzieju, ani nic podobnego! Bezradność skazała go prawie na śmierć głodową — o kilometr od domu! Ha ha ha! mosterdzieju! I dopiero przypadkiem o zmierzchu szukający go po łąkach Wicek usłyszał na kępie.... płacz!

Bolek. A fe! chłopiec — płakać?

Janek. A cóż miałem robić? Cóżbyś ty zrobił na mojem miejscu?

Bolek. Po pierwsze, ja umiem pływać, jako skaut, i to jużby mi dało sposób ratunku. Ale następnie szukać brodu, budować tratwę, dawać znaki.... użyć wszystkich sił do uratowania się. Płacz zostawia się na koniec! Trzeba być energicznym!

P. Rożniecki. To dobrze, bardzo dobrze; nam w Polsce mazgajów ani leniuchów, mosterdzieju, nie potrzeba, jeno ludzi do tańca i do różańca. Odbudować ojcowiznę mogą właśnie tylko tacy mężni, hartowni, silni ludzie, niczem nasi pradziadowie! Ale pradziadowie nasi częściej w polu, z głową na siodle a ręką na głowni karabeli sypiali, niż w puchach w domu! Baczność więc, młodzi, i ducha, i ciało, mosterdzieju, hartować, bo z tego hartu tylko wstać może Ojczyzna nasza!.. A teraz, Bolku drogi, bądź w lesie naszym gospodarzem i przewodnikiem; cały ten las otworem ci stoi, gościny nie skąpiąc. Ja bo muszę do gospodarstwa śpieszyć. A że, jak myślę, zobaczymy się jeszcze, mosterdzieju, przed wyjazdem, czy tam wymaszerowaniem waszem, do widzenia więc tylko!

Bolek. Do widzenia, drogi wujaszku (*pan Rożniecki odchodzi*).

SCENA SZÓSTA.

Janek. Więc to ty, Bolku, jesteś skautem? Słyszałem ja coś kiedyś — aha, to było na imieninach Zygmusia w sąsiednim Marysinie— słyszałem coś niecoś o tym skautingu. Opowiedzno mi ty pokrótce, co to właściwie jest: wojsko jakie, czy co, boć i o forpocztach jakichś mówiłeś, i o namiotach, o marszach. Jakżeż to tam z tem jest?

Bolek. Widzisz, Janku, ja to tam gadać dużo nie umiem. A zresztą nie wiem, czyby kto całą treść o skautingu w słowach, bodajby najwymowniejszych, zawarł. To, widzisz, jest chyba, hm.... *(zamyśla się)* jakby ci to tu powiedzieć ... zbiorowe życie młodzieży, oparte na uczciwości i miłości, pracowitości i swobodzie. To jest taka niby... aha, przypominam sobie z książki.... wolna szkoła charakterów i sił fizycznych, gdzie nauczycielem jest przyroda! *(żywo).* Ale to są tylko słowa, słowa bezduszne, mdłe, bezbarwne: skauting to coś znacznie więcej! Jabym bez drużyny, obozu i naszych ćwiczeń już żyć nie potrafił.

Janek. Słyszałem, że uczycie się fachów?!

Bolek. A jakże, ja, naprzykład, umiem stolarkę i koszykarstwo. Fach w ręku ma różne cele: przyuczyć do pracowitości, dać w życiu zabezpieczenie na wypadek potrzeby i nauczyć oceniać fachowca. Ale poza tem skaut musi umieć ratować w wypadku, sygnalistykę, kucharstwo, tak, by wszędzie i zawsze, polegając tylko na sobie, mógł dać sobie radę!

Janek. A jakże wy to godzicie z lekcjami? Ja myślę, że, chcąc to wszystko wypełnić, musicie zaniedbywać lekcje?

Bolek. Nigdy w życiu: obowiązki ucznia stoją na pierwszem miejscu.

Janek. W podziw mnie wprawiasz, doprawdy. Jabym tego nie potrafił: uczyć się i na wycieczki chodzić.

Bolek. Ano, kto chce, wiele może. Cycerona buch do plecaka i hajda w pole: przy ognisku czasem jest czas i na „Quousque tandem Catillina!...” A już wierszy to się tylko w marszu mogę uczyć. Ale, co do wycieczki (*podchodzi do roweru*), muszę jechać na spotkanie mych kolegów!

Janek. Wieluż ich idzie tutaj?

Bolek. Cztery zastępy, koło trzydziestu....

Janek. I to pieszo?!

Bolek. Ależ, gdzie (*śmiejąc się*)? samochodami.

Janek. Wy macie samochody?

Bolek. O, i to jeszcze każdy dwa (*przestępuje z nogi na nogę kilka razy*). Jeżdżą bez oliwy i benzyny, a jak szybko!

Janek. Aaa.... to znaczy, zupełnie pieszo!

Bolek. A i cóż ty myślisz, że furą albo balonem? Cały powiat mamy zamiar obejść dookoła, aby poznać okolice. Skaut musi wiedzieć, co kocha, musi znać swoją Ojczyznę.

Janek. Jabym tak nie mógł!...

Bolek. Zdaje ci się, chłopysiu; gdybyś tak tylko stanął w szeregu, usłyszał śpiew, usłyszał komendę, zagrałaby i w tobie krew! Hoho! Ty nie wiesz zupełnie, co to jest być w szeregu, ale jak się już drużyna ustawi czwórkami, jak brzękną manierki, jak padnie: „Baczność!” Drużyna — naprzód - marsz! a zgodnie i rytmicznie uderzą stopy o ziemię, a jeszcze się z tylnych szeregów piosenka poderwie: „Hej, tam, pod Warszawą!” albo: „Raduje się serce, raduje się dusza”, to ci się naprawdę i dziesięć wiorst nieraz niewiadomo jak przebiegnie! (*wchodzi p. Rożniecka, niosąc na taсy dzbanuszek z mlekiem i szklankę*).

BIBLIOTEKA NARODOWA

SCENA SIÓDMA.

P. Rożniecka. Pijno, mój Bolku — dla posiłku i odświeżenia. I powiedz mi (*Bolek pije*), gdzie będziecie obozować, abym mogła kolację wysłać do namiotów!

Bolek (*odejmując szklankę od ust*). Bóg zapłać, ciociu droga, ale my kolację zwykle szykujemy sobie sami!

P. Rożniecka. Boże, odpuść, co to musi być za kolacja! Cóż wy gotujecie co, czy tak na zimno?!

Bolek. Gotujemy, ciotuchno, a jakże! Ognisko się rozbuzuje olbrzymie, kamieni w nim kilka położy, na nich kociołki albo garczki— i, zakasawszy rękawy, gotujemy spyżę dla całej gromady.

P. Rożniecka. Ano i wychodzi to później z garnczka?

Bolek. Ojej, jeszcze jak prędko: znika wszystko błyskawicznie. Ani się obejrzysz, jak ci wiara wszystko połknie: kartofle, grzyby, kaszę, jaja, kwaśne mleko i temu podobne delikatesy. Trzeba się zwijać porządnie, bo odjeść mogą, że aż ha! A kto taki majster do gotowania, spyta ciocia; ano właśnie w naszej drużynie to Kaziek Grzeczyński i ja (*kłania się*). Do usług! Może cioci zrazy zawijane sfabrykować na poczekaniu, albo może rosół na bronowym zębie? z góry ręczę, zajadać się będziecie!

Janek. Ależ to tylko kucharka potrafi, na tem trzeba się przecież znać.

Bolek. To też my się znamy. Cóż to: skaut, co topielca umie ratować, mostek rzuci przez rzekę, buty zrobi albo załata, garnczka grochuby nie umiał ugotować? Niech tylko z gosposinej komory zniosą koledzy do ogniska zakupione smakołyki, wnet ci już upitrasimy takie delicje, że palce lizać! Takiej ka-

szy ze sperkami, jaką ci na pniaku po marszu dadzą skauci, to nawet na matczynym stole pewnieś nie jadł: blaszankę w garść bierzesz i do kociołka, a później gdzie na mchu lub na pniaku i — wcinasz, aż ci się uszy trzęsą. Hej! ha! to są uczty!

Janek. Zaciekawiasz mnie i pociągasz. Żeby to tak można było choć zobaczyć!

Bolek. Poproś matusię, aby ci pozwoliła dzisiejszą noc razem z nami przy ognisku przepędzić.

Janek. Matuchno, niech matuchna mi pozwoli się z nimi pobawić.

Bolek. Terefere! pobawić? Co to znaczy — pobawić. W obozie, braciszku, zabawy nie bądziesz miał: musisz i po wodę pójść i chróstu nazbierać. Każdy swoją część pracy spełnia.

Janek. No, dobrze, dobrze! już ja będę nosił wodę! Tylko pozwól, matusiu!

P. Rożniecka. Ależ owszem, owszem, ja nawet rada będę, jeśli dokażesz takiej sztuki. Tocieś ty syn wsi niby, a widziałeś ty kiedy wschód słońca? Idź więc i spróbuj, cobyś to ty potrafił znieść!

Janek. Dziękuję matusi i wam; bardzo się cieszę, że będę razem z wami (*ożywia się*). Wiesz, ja nigdy jeszcze nie spałem na trawie w nocy. To musi być bardzo ciekawe!... Ale, ale (*zastanawia się*), a mrówki? Co wy robicie z mrówkami?

Bolek. Co ci tam mrówki? Jak się owiniesz w derkę czy w koc, to co ci tam mrówki zrobią. Będziesz chrapał, aż się będą świerki giąły.

P. Rożniecka. Może jeszcze mleka, Bolku! (*nalewa*).

Bolek. Dziękuję, ciociu, ja do swoich muszę (*podbiega do roweru*). No, więc przyszykuj się i bądź gotów za godzinę. Wpadnę tu

po ciebie! A ciocia niech pierzynkę przyszykuje.... na jutro rano, przecież głodny, nie wyspany, pogryziony przez mrówki Janek będzie pewnie chciał wypocząć! (*śmieje się*).

Janek. No, nie miej mnie znów za takiego piecucha. Jeszcze zobaczysz, czy nie potrafię takim samym być zuchem, jak ty, jak każdy skaut!

Bolek. Każdy skaut tylko cieszyć się z tego będzie! — O, ale słyszę trąbkę za wsią: zbliżają się. Wielki czas już na mnie! Czuwaj! (*wyprowadza rower przed werandę i, wsiadłszy nań, znika*).

OBRAZ DRUGI.

Las: wyniosłe świerki w głębi i po stronach, polana przed nami. Zmierzch już zapadł, acz jeszcze jest dość widno. Na polankę wychodzą skauci dwójkami ze śpiewem: „O, mój rozmarynie!” Mundury wycieczkowe, plecaki, części namiotów, łopatki i t. d., skautów dziesięciu, dwunastu. Komenda: „Zastęp — stój! Spocznij!”.

SCENA PIERWSZA.

Stefan (*komendant oddziału*). Nasz zastęp na tej polanie obozuje! Kazio i Mietek pójdą do wsi lub do dworu kupić mleka, chleba i kartofli. Jako kucharze, wiecie, że nam kiszki marsza grają....

Skauci (*jeden przez drugiego*). Ojojoj! jeszcze jak, takiego marsza, że chyba w niebie słychać!

Mietek. No, a oczywiście Witkowi najbardziej! On na wycieczki tylko dla kwaśnego mleka chodzi! (*ogólna wesołość*).

Stefan. Ciszej, koledzy: teraz rozkazy. Więc wy, Mietek i Kaziek, prowjantujecie nas. Dużo wszystkiego przynieście: kawał drogi uszliśmy. Tadek i Stach zajmą się zbudo-

waniem namiotów i rozpaleniem ogniska. Józek na warcie pierwszą godzinę. Jutro od szóstej ćwiczenia połączonych zastępów na łąkach pod lasem — z podchodzeniem....

Wszyscy. Hurra, hurra — doskonale....

Stefan. Dwóch wylosowanych zostanie przy obozowisku! Zastęp — rozejść się! (*Robi się gwar, szum, zastęp rozbiega się po polanie. Wyznaczeni do prac biorą się do nich, reszta im pomaga*). A, jeszcze jedno. Bolek zaprosił do nas, do obozowiska na noc dzisiejszą swego kuzyna, Janka Rożnieckiego, który skautem nie jest. Chce poznać nasze życie obozowe. Bądźmyż dla niego, jak dla kolegi!

Kazio (*z uśmiechem*). Jakbym wiedział, że to jakiś mamin synek, który tu pierzynkę sobie sprowadzi!

Heniek (*wysoki chłopiec, szczupły*). Pierzynę, jak pierzynę, ale poduszkę chciał podobno zabrać z sobą.

Wszyscy (*śmieją się*). Ha ha ha—i otomankę może albo hamak.

Tadek (*znosząc chróst*). Nie spał widać jeszcze na mchu, to nie wie, że żadna poduszka tak nie ciągnie i tak nie pachnie, jak kępa mchu pod głową. (*Józek staje wśród świerków na dalszym planie z laską w dłoni na warcie*).

Władek. Tak, tak, być skautem to najprzyjemniejsza rzecz.

Witek. O ile się głodnym nie jest!

Heniek. Och, ty, nienasytku! Koledzy, zanim wieczerza będzie gotowa, przyrządzimy dla Witka sałatkę z szyszek! Bo inaczej nie dotrzyma i zemdleje.

Witek. Ty się śmiej, a ja (*sięga ręką do plecaka*) chleba z masłem zjeść muszę....

Stach. To gdzież my ten namiot stawiamy?!

Tadek. No, chyba tu, pod tym świerkiem (*obiera miejsce w głębi na prawo*). O, od tego pnia do tego!

Mietek. E, co to za miejsce! takiemu Heńkowi to i głowa i nogi będą z tego namiotu wyłaziły. (*Ogólny śmiech i spoglądanie na Heńka, który rzeczywiście wzrost ma wysoki*). Jak się ma takiego wielkoluda w zastępie, to trzeba i namioty budować odpowiednie: wielkie, długie, rozległe!

Witek (*ustami pełnemi chleba*). Na kolejach dla takiego osobne wagony będą musieli przypinać....

Heniek. A dla ciebie też osobne wagony z chlebem i masłem (*ogólny śmiech*).

Tadek. No, do roboty (*przesuwa drążek przez konary od drzewa do drzewa. Heniek, Mietek i Witek biegną mu pomagać*).

Kaziek. Mietek, Mietek, ty się do namiotu nie zapędzaj, bo od tego jest już architekt: my idziemy po żywność! (*Liczy pieniądze*).

Mietek. Zaraz idę, zaraz! (*Przerzuca oponę namiotową przez drążek, który spada: opona okręca Witka, który niezaradnie pada na ziemię i usiłuje się wyplątać*).

Witek. Trzymałbyś mocniej.

Tadek. Nic ci się nie stało: dawaj drąg.

Witek. Ja nie mogę tak się męczyć: muszę odpocząć (*siada pod drzewem i zaczyna jeść*).

Stach. Kaziek, zwijajcie wy się z tą spyżą i z kolacją, bo ten (*wskazuje Witka*) zje swój chleb i do naszych się chyba plecaków zabierze.

Mietek. Idziemy już, idziemy: całe cielę sprowadzimy dla Witusia na kolacyjkę (*ogólny śmiech*). Mietek bierze konewkę, Kaziek woreczek spory. Wchodzą: Bolek i Janek.

SCENA DRUGA.

Bolek. Koledzy, oto mój cioteczny brat, Janek! skautem nie jest, ale zaciekawia go nasze życie i pragnie je poznać. Zaprosiłem go więc do naszego ogniska i pod nasz na-

miot: niech i on pozna, co to za przyjemność jest być skautem!

Wszyscy. Prosimy, prosimy! Jutro razem na ćwiczenia wyruszamy.

Mietek. A ja skorzystam, jako dzisiejszy kucharz i szafarz zastępowy, aby się nowego kolegi spytać, jako tutejszego, w której chacie najłatwiej można kupić mleka, chleba, jaj, może kartofli i temu podobnych specjałów?!

Janek. Jeśli mi wolno zaofiarować się, to proszę kolegów nie ominąć przedewszystkiem dworu, gdzie o wszystko będzie najłatwiej i najprędzej. Zamiast do chaty, zwróćcie się do matki mojej, a ona wypełni worek z przyjemnością.

Mietek. Bardzobyśmy byli temu radzi!

Janek. Proszę tedy, bardzo proszę: brzegiem lasu do drogi (*wskazuje kierunek*), a drogą wprost do dworu. Matka bardzo chętnie ofiaruje zapasy! (*Mietek i Kaziek odchodzą*).

SCENA TRZECIA.

Bolek. No, chłopcy, ognisko trzeba rozniecać. Już zmierzch porządny.

Witek. A weź się sam do roboty: chróst już jest!

Bolek. Co to tyle chróstu znaczy, zbierajcie więcej!

Janek. A to chodźmy, koledzy! (*kilku go otacza i wychodzą na lewo*).

Władek (*przyklęka i wyjmuje zapałki*). O, tu będzie ognisko.

Bolek. Otóż nie tu, tu wejście do namiotu, stąd wiatr (*pokazuje gestem*) to tu trzeba rozłożyć ognisko. Cóż ty, chciałbyś się uwędzić dymem (*przyklęka, zbiera chróst i rozpala*) (ostrożność!). Chróst trochę wilgotny, ale to nic, zapali się (*płomień bucha*). O, jest ogień (*dokłada chróstu*).

Wszyscy. Ogień jest, ogień już jest!

Heniek (*rozpędza się i skacze przez ogień*). Hop - sa!

Witek. Zupełnie, jak na Sobótkach.

Władek. Obłożyć ognisko kamieniami lub ziemią, aby się trawa nie zajmowała pod namiotem (*robi to. Wchodzi Stefan, który od dłuższej chwili był gdzieś przy warcie. Wchodząc, śpiewa pod nosem: „Naprzód, drużyno strzelecka!" Bolek podchwytuje*).

SCENA CZWARTA.

Wszyscy. Śpiewajmy, śpiewajmy! (*śpiewają strofę. W czasie tego wracają z chróstem chłopcy*).

Stach. Jak się to głos rozchodzi! Śpiewajmy jeszcze!

Heniek. Zaczekaj-no: trzeba wody przygotować do kartofli.

Witek. Oby tylko były kartofle!

Janek. Napewno będą: tylko patrzeć kolegów z workiem.

Stefan. Po wodę skoczyć trzeba: no, Witek, bierz wiadro!

Witek (*krzywi się*). Eee! Jeszcze czas, jeszcze kartofli niema.

Bolek. Przynieś wody, bo inaczej kolacji nie dostaniesz albo pod bacznością postoisz z godzinę!

Witek. Ojoj: nic, tylko się kręć i kręć w kółko! (*bierze wiadro i wychodzi*).

Stefan. No, pogimnastykujmy się trochę!

Stach. Doskonale: komenderuj!...

Stefan. Baczność! Podług wzrostu, stawaj w rząd! Odlicz! W dwurząd wstecz! Rozstęp, ramiona w bok! (*Rozsuwając ramiona, uderza Heniek Witka*).

Witek. Oj, Heniek, nie wal mnie tak w żołądek (*wszyscy w śmiech*).

Stefan. Baczność! Rozmawiać nie wolno! (*sam jednak dusi śmiech*). Zastęp — ćwicz! (*Zastęp przerabia ze dwa obrazy wolnych ćwiczeń ruchowych, dowolnych zresztą*).

Heniek. Witek, czego tak sapiesz?! (*W najbardziej trudnym momencie, wśród zupełnej ciszy rzucane słowa wywołują burzę wesołości. Stefan woła:*).

Stefan. Spocznij! E, z wami ćwiczenia....

Heniek. Ba, kiedy spojrzyjcie, koledzy, tylko na Witusia, chłopak, jak świeca, a zwinny — hoho! Jak stanie na baczność, to ciągle myślę, że mam generała przed sobą! (*Śmiech*).

Stefan. No, dosyć drwin, dosyć! Do ogniska! (*Wszyscy obsiadają ognisko*).

Witek (*do Heńka*). Chodź, wielkoludzie, usiądziemy razem! niby się śmiejesz ze mnie, aleś dobry chłopak.

Stefan. Możeby tak gawędę jaką urządzić?

Władek. Cudowna myśl, tylko temat?!

Bolek. Temat — temat!... Aha: czembyś chciał być, aby być najpożyteczniejszym dla kraju.

Stefan. No, dobrze, zaczynaj sam wobec tego.

Bolek. Jabym chciał być (*dorzuca chróstu na ogień, ogień wybucha*), chciałbym być żołnierzem! Żołnierz najwięcej ofiar ponosi i najbardziej broni granic kraju!

Heniek. A ja znów chciałbym być inżynierem: budowałbym fabryki, wyrabiał towary, maszyny, zatrudniałbym wielu ludzi. Toby się dźwigał dopiero kraj...

Władek. Ja zostanę księdzem. Księdza słuchają wszyscy, a chłopi najbardziej. Co z ambony padnie, to święte, a jabym ciągle mówił o Polsce. Że ją trzeba kochać, że dla niej nie wolno skąpić mienia, życia, znoju ni trudu!

Stefan. Bo tylko „z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć”.

Władek. Tak, ciąglebym nawoływał, że sam Bóg kazał miłować ojczyznę, że nas karze dziś za to, że kiedyś nie miłowaliśmy Polski....

Stach. Ba, piszą w historycznych książkach, jak to szlachcic skąpo wymierzał Polsce swe usługi: co sejm, to się rozpoczynał haniebny targ o usługi, o pracę, o zabiegi około wspólnego dobra. Każdy sobie wojewodził, a ofiarnych było, et, co to nawet wymieniać, kilku, kilkunastu!

Heniek. I dopiero, jak już wróg dopiekł, ot, naprzykład, za Jana Kazimierza, stawały się cuda: bohaterami byli — wszyscy. I chłopu, i panu dopiero bat na grzbiecie przypominał obowiązki.

Bolek. A niech tylko niebezpieczeństwo minęło, zwady i waśni, sobkostwo i lenistwo znów wypływały na wierzch.

Stach *(zrywając się)*. Nie będzie tak już długo w Polsce: niechno tylko skauci dzisiejsi podrosną, niechno my staniemy w szeregach narodowych. Karnie, zgodnie, ochotnie: w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!

Stefan. Dobrześ to powiedział, Stachu! Ja już trochę starszy jestem od was i dawniej obserwuję życie. Otóż to właśnie nasz skauting polski powinien mieć przedewszystkiem na widoku: przetworzyć, przerobić w sobie tę naturę polską, co to jeszcze zdawna buńczucznością, krnąbrnością, sobkostwem i prywatą nasiąkła. Nasz skauting polski ma bardzo dużo do zdziałania: nasi angielscy bracia, ani skauci niemieccy, ani włoscy nie mają tak wiele do odrobienia z zastarzałych grzechów przeszłości, jak my.

Bolek. To też pracy, pracy, nieustannej pracy potrzeba.

Stefan. Teraz się ta praca robi możliwsza: jutrzenka lepszych dni nam świta. Dawniej było bardzo trudno pracować nad odrodzeniem ducha młodzieży, bo ciągle ktoś obcy czuwał nad nami!

Stach. A jednak poszła kadrówka pod Kielce, popłynęła polska krew pod Krzywopłotami, Jastkowem, Rokitną: choć miano Polskę za marę wystygłą, buchnął wulkan i rozproszył legendę o polskim śnie!

Bolek i Władek (*śpiewają*). Nic nie powstrzyma rycerzy....

Wszyscy (*podchwytują do końca strofy*).

Władek. (*Mocno*). Nie, nie zginęła! Polska wstać musi, by żyć!...

Bolek (*nasłuchując*). Ej, cicho, słyszycie?!... Jakaś gonitwa!... (*nadsłuchują*). Najwyraźniej ktoś kogoś goni.... (*poruszenie*).

Stach. Ciszej... (*nadsłuchują*). Istotnie, gonitwa jakaś; nawet — ktoś krzyknął! (*Zrywają się*).

Witek. To pewnie Kazio i Mietek wracają ze dworu!

Stefan. Kiepski z ciebie skaut, Stachu, jakże to, nie spostrzegasz, że i nie z tej strony odgłosy nadchodzą, i na powrót ich zaprędko. Wreszcie, ciszej, (*nadsłuchuje*) tam najwyraźniej kilku albo kilkunastu ludzi biegnie!...

Witek. Rzeczywiście, (*słucha*) o, słychać!

Stefan. Koledzy, idziemy na zwiady! Może tam naszej pomocy, albo, co gorsza, obrony trzeba?! (*wszyscy się podnoszą*). Z tego miejsca w różne strony (*wskazuje kierunek*), cicho i wolno; w razie, gdyby ktoś napotkał przyczynę tych odgłosów, gwizdkiem znak — trzy razy! Witek, ty z Józkiem koło obozu, ogniska pilnuj i namiotu. Ruszamy!... (*znikają w gąszczy. Odgłosy robią się coraz wyraźniejsze, słychać, wprawdzie jeszcze dość daleko, nawoływania i krzyki*).

SCENA PIĄTA.

Witek (*lat 16, grubas, mało zwinny i nieobrotny*). Ojoj, zostałem sam! Ładnie ja tu będę wyglądał, jak się ta cała gromada złodziei, zbójów, bandytów, opryszków, morderców, rabusiów na mnie zwali! Ojoj, gorąco mi się robi! (*ogląda się dokoła*). Józek gdzieś poszedł! (*patrzy po drzewach*). Na drzewo ani sposób się w razie czego wgramolić! No, wpadłem ja, wpadłem! (*nadsłuchuje przerażony*). Jak matkę kocham, tutaj lecą! (*upuszcza laskę*). Ale co tam: skautem jestem, a skaut się nie boi. Sumienie mam czyste, serce powinno być także spokojne (*słychać zduszony w oddali głos*). Ojoj, ojoj — Józek, Józek — gdzieś ty?! (*Włazi pod namiot i wysuwa głowę*). Tam ktoś o ratunek woła!.... (*Wpada Józek*).

SCENA SZÓSTA.

Józek. Tu ktoś o ratunek woła?! (*Witek chowa głowę*).

Witek (*głośno pod namiotem*). Ojej, już po mnie! Zabiją mnie, ratunku!

Józek. Kto tu krzyczy?! (*sięga ręką do osłony namiotu, za którą zniknął Witek — ukazuje się z głębi kij skautowy, którym rozpaczliwie wymachuje niewidzialna dłoń*).

Witek (*niewidoczny, przerażony*). Bandyta, bandyta! Ratunku!

Józek. Nie bandyta, tylko skaut jestem. Któż tam siedzi?

Witek (*uspokaja się*). Nie bandyta, a ktoś ty?!

Józek. Józek, skaut!

Witek (*wysuwa głowę lękliwie*). Naprawdę Józek!

Józek (*śmiech*). Ach, to ty, Witku! A czegóż tak krzyczysz. Myślałby kto, że cię ze

skóry obdzierają. (*Witek zawstydzony spuszcza głowę*). A gdzież reszta?!

Witek. To ty nic nie wiesz?!

Józek. Byłem na warcie przecież, stąd o kilka kroków, wtem słyszę krzyk o ratunek! Wpadam do obozu — pusto, tylko w namiocie jakiś głos przerażony (*śmieje się*).

Witek (*milczy chwilę zawstydzony, wtem nadsłuchuje: chrzęst łamanych gałęzi tuż, tuż*). O, masz! Tu ktoś biegnie — bandyta! (*zwraca się do namiotu. Józek staje twarzą w głąb*).

Józek. Ależ nie uciekaj! Zostań, Witek! (*Witek trwożliwie przystaje koło namiotu. Z głębi wypada dwóch mężczyzn, starszy chłop lat 40 z brodą, odziany ubogo, młodszy, lat 14, chłopak wiejski — zadyszani, wylękli, ujrzawszy chłopców, w prośby do nich*).

SCENA SIÓDMA.

Bartosz. Schowajcie nas, schowajcie, panicze litościwe, schowajcie, na imię Boga, albo obrońcie!...

Józek. Bo co?! Co wam grozi?! Kto was ściga?!

Bartosz. Schowajcie, panoczku, o nic nie pytajcie, jeno brońcie od złego!

Józek. Tu was i tak już nic złego nie spotka. Witek, daj sygnał gwizdkiem. (*Witek gwiżdże trzy razy*).

Bartosz. Oj, panoczku drogi, złoty, to nic nas tu już nie spotka?

Józek. Jesteście pod opieką skautów: jeśli sumienie macie czyste, włos wam z głowy tu spaść nie może.

Witek. Ale co wy tu w lesie po nocy robicie (*szmer i gwar zbliżających się wielu osób*). Czy to was ścigają?!

Bartosz. A toć nas! nas!—O Jezu! paniczku, ratujcie! (*Wbiegają na scenę skauci, za nimi tuż tuż chłopów kilku z drągami i kijami w rękach*).

SCENA ÓSMA.

Bolek. Józek, tyś gwizdał? Uf!... (*oddycha*).

Józek. Ja!...

Chłopi. O, są tu, łajdusy, obwiesie jedne. Jensze uciekły, ale tych to już nie puścimy zdrowo i sucho! Zapłacą za tamtych! (*rzucają się z kijami, gromada ich rośnie, widać kłonice i widły*). Bij złodzieja! (*Zapalczywie rzucają się na Bartosza*). Stefan, Bolek i inni rzucają się między nich.

Stefan. Stać, precz z kijami! Czego chcecie!

Chłop I. A dyć tych gałganów pobłogosławić musimy. Toć że to tych łotrów gonim bez cały las.

Bolek. Co macie przeciw nim?

Chłop II. Hale, tobie się bede opowiadał, cyganie jeden, puscaj! (*Wznosi drąg, Bolek laską swoją odparował cios. Drugi zamach, Janek rzuca się i zasłania go, drąg spada na ramię Janka, który pada, jęcząc*).

Stefan. Janku! (*rzuca się ku niemu*). Tyś raniony?!...

Chłopi (*poznali Janka; między sobą*). Patrzta, syn dziedzica, syn dziedzica (*odstępują nieco*). Chłopok ze dworu tyż tu z nimi, dajta spokój! (*Tylne szeregi napierają. Wrzawa nie ucicha. Stefan przyklęknął koło Janka; zaraz też podnoszą go koledzy i przenoszą pod namiot*).

Głos z tylnych szeregów. Dali na psubratów!

Bolek. Wara! (*groźnie*)! Ani kroku dalej! Co zarzucacie tym ludziom?

Chłop III. Adyć wiadomo, co? Złodzieje som, gałgany, drzewa z pańskiego lasu tnom nocami. Bez nich pozór na całom wieś idzie.

Chłopi. Hale, parszywa owca deśpektuje całe stado.

Chłop IV. Ano, do nich! (*zamierza się i rzuca kijem w Bartosza, ten skulił się, przysiadł. Chłopstwo się rusza*).

Stefan. Ręce przy sobie! Tocieście nie zbóje! Już i tak przez waszą sprawiedliwość jeden niewinny jęczy.

Chłop I. A to byśwa wiedzieć chcieli, skond znowuj to prawo przy panach, obwiesiów od kary brunić?

Stefan. Ani my ich bronić, ani uniewinniać nie chcemy, tylko nie wasze ręce do sądu i kary powołane. Od tego jest urząd.

Chłop II. Urząd daleko, a złodziej blizko. Przez urzędu my jem gnaty porachować zdolemy.

Bolek. To wprzód z nami będziecie mieli przeprawę.

Chłop II. No, to jakże to, puścić mamy złodzieja.

Stefan. Powiedzcie naprzód, za co ich karać chcecie?

Chłop III. Ano, Macieju, wyśta w gębie mocny, mówta!

Chłop II. Mówta o deśpekcie cały wsi, i o krzywdzie dziedzicowy!

Chłop I (Maciej). Gawędy to tu przy tem nijakiej długiej nima. Nie śtuka tyż dokumentnie wyłożyć (*wpada w chłopskie oratorstwo*). Dziedzicki to las z dziada pradziada (*szeroko rozkłada ręce*) i dziedzickie w nim wszyćko: i to drzewo, i ten krzok, i to ziółko, i ptoszek kużden — wszyćko jego! Jego jest do tego prawo i jego wola!...

Stefan. Mówcie zwięźlej!

Władek (*podchodzi do niego*). Janek zemdlał, trzeba do apteczki sięgnąć. (*Stefan otwiera boczną, u pasa wiszącą taszkę i daje Władkowi potrzebne rzeczy; sam się też zwraca do leżącego na mchu Janka. Skauci cucą i bandażują ramię! Chłopi zmieszani*).

Chłop III. Bo tyż Kuba to nigdy zastanowienia nimo.

Chłop V. Mierzuł w złodzieja, a trafiuł w tego ta.... cudoka.

Stefan (*zwraca się do chłopów*). Ot, skutki zapalczywości. Taka byłaby i wasza sprawiedliwość. Hamujcie się!

Maciej. Wsielako to nom dziwno się to wyda, że nie możemy gałgana po swojemu ukarać.

Chłopi. Ukatrupić, ukatrupić sielmę i bedzie dla innych pamiętne. Setny bedzie wiedzioł, co obco rzec! (*mściwie*). Zatłuc, zatłuc za sromote naszom!

Stefan. Tknąć ich nie damy, schwytaliśmy winnych, wasza i nasza rola skończona. Sądy załatwią sprawę.

Maciej. Hale, sądy, gdzie ich szukać. Do miasta jedź, świadków stawioj, hadwokata płać, kłopoc się, czas marnuj, a kuniec, Bóg go ta wi, jaki bedzie.

Bolek. My ich sami do sądu odstawimy. Dziedzicowi całą sprawę przedłożymy! On powie, co robić z nimi!

Chłop III. Byle sprawiedliwość była!

Stefan. Dziś od tego są sądy, sędziowie uczeni i wypraktykowani, urzędy, na które podatki płacicie. I tak jest lepiej. Bo pomyślcie, przybiegliście tu z drągami i kłonicami, w gniewie wielkim i zapamiętałości, zgoła bez zastanowienia. Krzywda wasza i zniewaga rozpaliła waszą mściwość; gdybyśmy nie byli obronili tych ludzi, moglibyście ich pobić, pokaleczyć, albo może i zabić, toć człek w zaślepieniu miary i opamiętania nie zna. No, i co potem, czy za kilka dni sumienie wasze byłoby spokojne i zadowolone, czy te parę sosen ściętych warteby były życia lub zdrowia ludzkiego, czy naprawdę ten mały chłopak, który jeszcze pewnie czytać i pisać nie potrafi, jest już takim zakamieniałym zbrodniarzem, aby się nie poprawił na słowo, na

naukę, na prośbę nawet? Za krzywdę krzywdą płacić łatwo, ale wtedy tym rachunkom nie będzie końca nigdy.... Winy ludzi powinna sądzić rozwaga i wyrozumiałość i ci ludzie za winy swoje karę ponieść muszą. Ale wedle okoliczności i takby mogli się i chcieli poprawić. Nie zemsta więc, ale miłość musi wydać tu wyrok. (*Rozsuwają się gałęzie i wchodzą państwo Rożnieccy. Janek już się podniósł i stoi w grupie kolegów; chłopi zdejmują czapki, kłaniają się zmieszani; czynią to samo i Bartosz z synem*).

SCENA DZIEWIĄTA.

P. Rożniecki. Setnie prawisz, zuchu - skaucie! Słyszałem wszystko, bośmy się tu, mosterdzieju, wybrali w tem obozowisku was odwiedzić i od chwili jesteśmy świadkami wypadku. Setnie prawisz, chłopcze! (*po ojcowsku kładzie mu rękę na ramieniu*). Wasza odwaga, wasza energja bardzo mi się podoba! I ty, Bolku — (*ogląda się w stronę Bolka, który stoi z Jankiem, spostrzega temblak Janka*). No, a cóż tobie, Janku? (*za głosem p. Rożnieckiego zwraca się i pani Rożniecka, która w grupie skautów teraz dopiero spostrzega temblak Janka*).

P. Rożniecka. Ach, Janku, cóż tobie się stało (*podbiega do niego troskliwie, ogląda rękę, skauci się rozstępują*).

Janek. Nic, matuchno, nic wielkiego....

P. Rożniecki. Ależ, mosterdzieju, co to: nic?! Nic w temblak obwiązujesz! Gadaj zaraz, jeden z drugim!

Janek. Draśnięcie małe: zupełnie mnie nie boli!

Witek. Został uderzony....

Władek. Janek spisał się po bohatersku: jeden z tłumu chciał uderzyć Bolka, gdy ten zasłaniał dostęp do tych (*wskazuje rę-*

kq na Bartosza). Janek zasłonił Bolka i dostał cios.

Janek (*śpiesząc bronić chłopów*). Ale ja nie wiem, kto to zrobił i wy nie pytajcie, kto to był! Mnie już nie boli, mnie wogóle wcale nie bolało, to drobnostka, błaha rzecz. Nikt tu nie był winien!

P. Rożniecki. Nikt nie był winien? Dzielnie, Janku, żeś taki mężny i uraz niepamiętliwy, ale wy (*zwraca się do chłopów*). Patrzcie, kogo dotyka najczęściej mściwy, nierozumny szał gniewu. Niema nic gorszego i nic dzikszego, mosterdzieju, niż samosąd; to nie sąd, lecz grzech! (*zwraca się do Bartosza*). I to wy, Bartoszu, wy na rabunek lasu idziecie? Wy, o którym myślałem, że jesteś biedny, ale uczciwy.

Bartosz. (*Przełom duchowy, rzuca się na kolana, obejmując nogi dziedzica, w głosie wstyd i skrucha*). Panie dziedzicu, wielemożny panie dziedzicu; szatan mnie opętał i siekierę dał do ręki! Szatan, nikt inny! ze słabości mojej skorzystał....

P. Rożniecki. Cóż cię skłoniło do rabunku?

Bartosz. Nędza mi do chałupy zaglądała, nędza okrutna, do garnka baba nie miała co dla dzieciaków włożyć.... Na przednówku umarło jedno, słabuje drugie.... Cóż miałem robić, roboty nie było, Żyd pożyczył, wziąłem raz, później drugi, aż urosło tak, że choćbym i chudobę sprzedał, na spłatę nie strzyma. A Żyd szepce, kusi, pieniędzy nie chce, jeno do lasu namawia. Przyniesiesz mi, peda, drzewa co tydzień, to tak, kiebyś mi procent płacił. Po wojnie oddasz, ale drzewa znieś. I poszedem, przez szatana opętany, i to dzieckom jeszcze wziuł ze sobą na pohańbienie. (*Zwiesza głowę*).

P. Rożniecki. A dużoś tego pożyczył?...

Bartosz. Żydowska to tam mądrość w tem, bo i kwity śpekulantnie były pisane; ale mu się chyba należy ze 120 rubli....

P. Rożniecki. I taka suma gubi człowieka; taki dług popycha w taką zależność! A nie mogłeś to do mnie przyjść?

Bartosz (*nizko się kłania*). Ha, wielemożny dziedzicu, nijako mi było. Zawszeć to tam u nas choć Żyd - parch, niedowiarek, ale bliższy jakosi, a dziedzic to zawsze dziedzic. Nijako było.

Stefan. Oj, ludzie, ludzie, jakżeż to tak można, aby obcy i wiarą, i narodowością był wam bliższy.

Bartosz. Wiadomo, paniczu, Żyd nie brat, oszuka i okpi! Ale jakosi tak do niego poręczniej: i pogada dłużej nieraz, i poradzi, i do chałupy zajdzie, babie tam cosi wetknie. Bliższy jest, choć Żyd! Dwór, to zawsze dwór; za śtachetami stoi, pod blaszanym dachem, czasu tam mało kiedy kto ma, w przedpokoju me przyjmą.... Niby to, prawdę mówiąc, dwór jest, to i dworski sposób, własny obyczaj, pański manier, tak i pewnie powinno być. Ale tyż dlatego chłopu do Żyda bliżej! (*Cichnie, zwieszając głowę*).

Stefan. I widzicie, ludzie (*zwraca się do chłopów*), do czego to prowadzi. Widzicie, czem się kończy zaufanie do obcych, wyzyskał Żyd słabość i ubóstwo człowieka, popchnął do złego, zgubić mógł brata naszego. Bo choć powinien był pamiętać Bartosz, że najostatniejsza nędza kradzieży nie tłumaczy, że Kościół to nawet w takich wypadkach grzechem nazywa, jednak słabość natury ludzkiej umożliwiła zwycięstwo złego ducha.

Bartosz. Oj, słabość to moja i ciemnota ten nieszczęsny topór do rąk mi włożyły! Ani ojciec, ani dziad kradzieżą się nie splamili, dopiero ja nieszczęsny przez tę nędzę i zaśle-

pienie taką plamę na siebie ściągam. I ten malec, ten chłopak, wstyd i sromota na nim na życie całe zostaną....

P. Rożniecki. Bartoszu, żałujecie za czyn wasz?...

Bartosz. (*Do kolan dziedzicowych się schyla*). Póki życia, póki tchu w piersi, wielemożny dziedzicu, złego się wystrzegał będę. Ino mi pracy trzeba, pracy, abym się mógł dźwignąć z nędzy, abym mógł krzywdę dziedzicową naprawić. (*Wśród chłopów poruszenie, objawy zadowolenia*).

P. Rożniecki. Moją krzywdę daruję ci, Bartoszu, mnie wystarcza, żeś okazał skruchę i chęć poprawy. Jeśli będziesz nadal we wsi gospodarnym, dzielnym, uczciwym człowiekiem, ja niczego więcej od ciebie nie chcę. Ale, aby ci do tego pomódz, abyś wiedział, że polski dziedzic wilkiem nie trąci, o robotę ci się wystaram, pracą na oddanie długu zarobisz.

Bartosz. Zarobię, panie dziedzicu, stokrotnie zarobię; nie dośpię, nie dojem, a grosz do grosza przysporzę. Aby mi tylko głód do chałupy nie zaglądał.... Tyle tego drzewa, com ukradł, odkupię, i na kapliczkę ochfiaruję; niech stoi znak, że się nawrócił człowiek.

Janek. Piękna myśl, kapliczka pamiątkowa!

P. Rożniecki. Dobrze, dobrze, Bartoszu; za despekt, Bogu wyrządzony, godziwa to będzie zapłata. Ja dam resztę materjałów i majstra.

Stefan. Poprosimy o jedno: my mamy cieśli - skautów, niech nam wolno będzie dać tę pracę. Niech tę kapliczkę, zaofiarowaną przez Bartosza, zbudują uczestnicy dzisiejszego zdarzenia, skauci polscy.

P. Rożniecki. Zuchy chłopaki!

Chłopi. Setne chłopoki, Bogiem a prawdą! Niech budujom!

P. Rożniecka. I jeszcze jedno: syn Bartosza jest młody, prawie dziecko, a już wisi

nad nim największe zło, jakie może spotkać człowieka; lata mu biegną, czas ucieka, a on do szkoły nie chodzi, ciemny jest, nie umie nic! Kochany Michale, jedzie od wakacji nasz Janek do szkoły, oddamy do jakiej szkółki w mieście i Józka, niech się uczy....

P. Rożniecki. Doskonale, niech jedzie; jedną ofiarę smokowi ciemnoty się wyrwie. (*Bartosz schyla się w podzięce).*

Stefan. Więc to Janek i Józek od wakacji będą w mieście, wierzę, iż drużyna nasza o dwóch skautów się napewno powiększy.

Janek. Ja napewno skautem zostanę....

Bolek. Niech żyją nowi koledzy.

Wszyscy. Niech żyją....

P. Rożniecki. Wam to, młodzi, lecz dzielni i kochani chłopcy, zawdzięczyć należy pomyślne załatwienie dzisiejszego zdarzenia. Wasza odwaga i stanowczość skierowały ją na te dobre tory, na których jest obecnie; widzę, że umiecie uczciwie i po rycersku bronić człowieka, że jesteście w uczuciach delikatni i szlachetni. Widzę też, że w zbliżeniu z przyrodą i życiem szykujecie się naprawdę do dzielnej służby dla Ojczyzny i rodaków, jest w was hart, męstwo, wytrwałość, karność i poświęcenie, a więc te cnoty, które zdobić winny obywatela kraju. Daj, Boże, aby was było w tych szeregach coraz więcej, aby hasła wasze brzmiały coraz głośniej, aby wasz siew wschodził coraz bujniej. Wszystko, co żywe, uczciwe, pójdzie z wami!... (*ściska dłonie kilku skautów*).

Stefan. Koledzy! Spełniliśmy czyn dobry; sztandar nasz, który rozwijamy w takich razach, i dziś może zaszumieć nad nami! Nie będę długo mówił, wszak skaut nie mówi, lecz czyni. To jedno mi jednak na usta się ciśnie, tylko miłość i praca prowadzą do jasnych celów (*rozwija się sztandar z orłem i wznosi nad grupą skautów*). Naszym celem jest szczęście Na-

rodu i szczęście Polski, na tej drodze dobywać będziemy z siebie wszystkich sił, pokonywać będziemy wszelkie trudności. Skaut polski za zaszczyt sobie i szczęście poczytuje tę ciężką pracę, co może i jak umie, czyni dla dobra rodaków... Czuje się on związanym i z tymi, co walczą z bagnetem w dłoni o Polskę, i z tymi, co na zagonie lub przy warsztacie w pocie dla kraju się trudzą. I będziemy u szczytu swych marzeń i tęsknot, jeśli będzie każdy szczęśliwy w wolnej, niepodzielnej Polsce!

Skauci. (*Śpiew*). Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród! (*Chłopi refren śpiewają z odkrytemi głowami. Publiczność wstaje*).

BIBLIOTEKA NARODOWA

WYDAWNICTWA M. ARCTA W WARSZAWIE

TEATRZYK

	Mk.
Amator przygód. Komedyjka w 1 akcie St. Dydyńskiego (8 chł.).	— 60
Baśń o Królowej Róży. Fantazja sceniczna w 3 odsłonach M. Gerson-Dąbrowskiej. Z rys. i objaśn. (dla szkół i pensji).	— 90
Baśń wigilijna. Obrazek sceniczny T. Pudłowskiego. Z 2 rys. (2 dz., 3 chł.). Wyd. II.	— 18
Choinka. Komedyjka w 1 akcie Cioci Mani (2 dz., 2 chł.).	— 15
Czerwony Kapturek. Baśń wierszem w 2 aktach Or-Ota (3 dz., 2 chł.). Wyd. II.	— 15
Dar królewny. Obrazek historyczny w 3 odsłonach A. Świderskiej i Z. A. K. Z 3 rys.	— 35
Dożynki. Komedyjka ze śpiewami w 2 aktach M. Synoradzkiego (8 dz., 11 chł.).	— 90
Dwie Marysie. Kom. w 2 aktach Al-Ara (5 dz.).	— 60
Dziewczynka na posyłki. Komedyjka w 1 akcie.	— —
Gwiazdka Michasia. Obrazek sceniczny w 1 odsłonie Cioci Mani (4 dz., 2 chł.).	— 18
Jasełka maluczkich M. Bogusławskiej. W 7 odsłonach. Z 7 rys. A. Gawińskiego (5 dz., 8 chł.).	— 60
Jaś dowódca. Komedyjka w 1 akcie M. Bogusławskiej. Wyd. II.	— 18
Jaś i Małgosia. Baśń wierszem w 4 aktach Or-Ota (3 dz., 2 chł.). Wyd. III.	— 18
Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami. Komedyjka w 1 akcie W. Izdebskiej (4 dz., 7 chł.). Wyd. II.	— 60
Kajtuś plotkarz. Komedyjka w 1 akcie St. Dydyńskiego (3 dz., 3 chł.).	— 60
Kazimierz i Rokiczana. Obrazek histor. M. Gerson-Dąbrowskiej.	— —
Kopciuszek. Baśń sceniczna w 8 obrazach. Wierszem nap. Via (5 dz., 5 chł.).	— 70
Kopciuszek. Baśń w 3 obrazach Z. Zacharkiewiczówny (10 dz., 3 chł.).	— 60
Królewna Basia. Baśń w 3 odsłonach Z. Zacharkiewiczówny (3 dz., 6 chł.).	— 20
Królewna Wiosna i Królewicz Lato. Fantazja w 3 odsłonach, w 1 dekoracji M. Bogusławskiej. Ze śpiewami i tańcami.	— 35
Kwiat paproci. Komedyjka w 2 aktach J. Kruka. Z 2 obrazkami (7 dz., 4 chł.).	— 28
Legenda o Królowej Kindze przez M. Gerson-Dąbrowską.	— —
Leszek Biały. Obraz historyczny M. Gerson-Dąbrowskiej (7 chł., 2 dz.).	— —

BIBLIOTEKA NARODOWA
405537